

**Philip K. Dick**

## **Wisielec**

O piątej Ed Loyce narzucił kapelusz i płaszcz, wyprowadził samochód i podążył przez miasto w kierunku swojego sklepu z artykułami telewizyjnymi. Był zmęczony. Plecy i ramiona bolały go od kopania ziemi w piwnicy i wywożenia jej na podwórze. Ale jak na czterdziestolatka poradził sobie bez zarzutu. Za zaoszczędzone przez niego pieniądze Janet będzie mogła kupić nowy wazon; poza tym cieszył się na myśl, że sam naprawi fundamenty.

Zapadał zmrok. Długie promienie zachodzącego słońca omiatały spieszących ulicami znużonych przechodniów, kobiety objuczone siatkami i pakunkami oraz studentów tłumnie opuszczających uniwersytety, by wmieszać się w zastępy urzędników, biznesmenów i bezbarwnych sekretarek. Zatrzymał swojego packarda na czerwonym świetle i zaraz ponownie ruszył z miejsca. Sprzedaż odbywała się bez niego; przybędzie do sklepu w samą porę, by pomóc pracownikom przed zamknięciem, dokonać dziennego bilansu, a może nawet własnoręcznie zatwierdzić kilka transakcji. Powoli przejechał obok niewielkiego skweru położonego pośrodku ulicy. Parking przed ZAKŁADEM USŁUGOWO-HANDLOWYM LOYCE'A był szczelnie wypełniony. Zmełł przekleństwo w ustach i zawrócił samochód. Ponownie minął skwer z pustym bufetem, ławką i latarnią.

Na latarni coś wisiało. Bezkształtny, przypominający kukłę toból, lekko kołyszany wiatrem. Loyce opuścił szybę i wyjrzał przez okno. Cóż to do diabła mogło być? Jakaś wystawa? Niekiedy Izba Handlowa organizowała na skwerze ekspozycje.

Wykonał kolejny skręt i podjechał w to samo miejsce. Minął park, koncentrując uwagę na wiszącym przedmiocie. To nie była kukła. Jeżeli chodziło o wystawę, pomysł wydawał się raczej chybiony. Włosy zjeżyły mu się na karku i niepewnie przeknęły ślinę. Na twarzy i dłoniach wystąpiły mu krople potu.

Na latarni wisiało ciało. Ludzkie.

- Popatrz na to! - wyrzucił z siebie Loyce. - Wyjdź na zewnątrz! Don Fergusson bez pośpiechu wyszedł ze sklepu, z godnością zapinając płaszcz.

- To poważna transakcja, Ed. Nie mogę tak po prostu zostawić klienta.

- Widzisz? - Ed wycelował palcem w gęstniejący mrok. Na tle nieba wyraźnie odcinała się latarnia wraz ze swoim rozkołysanym balastem.

- Tam. Jak długo to tam wisi? - W podnieceniu podniósł głos. - Co się dzieje ze wszystkimi? Przechodzą obok jakby nigdy nic!

Don Fergusson powoli zapalił papierosa.

- Spokojnie, starszku. Bez powodu by tak nie wisiał.

- Powodu! Jakiego powodu?

Fergusson wzruszył ramionami.

- Tak jak wtedy, gdy Rada Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego postawiła tam strzaskanego buicka. Jakieś miejskie sprawy. Skąd niby miałbym wiedzieć?

Dołączył do nich Jack Potter ze sklepu obuwniczego.

- O co chodzi, chłopaki?

- Na latarni wisi ciało - oznajmił Loyce. - Zawiadomię policję.

- Muszą o tym wiedzieć - powiedział Potter. - Inaczej już by go tam nie było.

- Wracam do roboty. - Fergusson skierował się w stronę wejścia do sklepu. - Najpierw

obowiązek, a potem przyjemność.

Loyce poczuł przyływ hysterii.

- Widzicie je? Widzicie, jak tam wisi? Przecież to człowiek! On nie żyje!

- Jasne, Ed. Zauważyłem go po południu, idąc na kawę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wisił tu przez całe popołudnie?

- No pewnie. I co z tego? - Potter zerknął na zegarek. - Muszę lecieć. Na razie, Ed. Potter szybkim krokiem dołączył do podążającego ulicą strumienia ludzi mijających park. Kilka zaciekawionych osób spojrzało na latarnię i kontynuowało wędrówkę. Nikt nie przystanął. Nikt nie zwrócił na ciało najmniejszej uwagi.

- Chyba oszalałem - wyszeptał Loyce. Podeszedł do krawężnika i zstąpił na jezdnię wprost pod nadjeżdżające pojazdy. Wściekle roztrąbiły się klaksony. Dotarł na drugą stronę i wkroczył do parku.

Wisielec był mężczyzną w średnim wieku. Upstrzony zaschniętym błotem szary garnitur wisił na nim w strzępach. Loyce widział go po raz pierwszy w życiu. Musiał być nietutejszy. Twarz miał przechyloną nieco w bok, a wieczorny wiatr bezszelestnie obracał ciało wokół własnej osi. Skórę mężczyzny znaczyły czerwone szramy i głębokie skaleczenia pełne zakrzepłej krwi. Okulary w stalowej oprawce nedorzecznie dyndały na jednym uchu. Oczy wyszły mu z orbit. Z otwartych ust wyzierał spuchnięty, posiniały język.

- Na miłość boską - mruknął wstrząśnięty Loyce. Stłumił przyływ mdłości i wrócił na deptak. Od stóp do głów trząsł się z odrazy i lęku.

Dlaczego? Kim był ten człowiek? Dlaczego tam wisił? Co to miało znaczyć?

Dlaczego nikt nie zwracał na niego uwagi?

Wpadł na pędzącego chodnikiem niskiego człowieczka.

- Uważaj pan! - wycedził przechodzień. - Ach, to ty, Ed.

Ed z roztargnieniem kiwnął głową.

- Witaj, Jenkins.

- Co się stało? - Urzędnik ujął go pod ramię. - Wyglądasz okropnie.

- Tam jest ciało. W parku.

- Oczywiście, Ed. - Jenkins podprowadził go do wejścia ZAKŁADU USŁUGOWO-HANDLOWEGO LOYCE'A. - Uspokój się.

Podeszła do nich Margaret Henderson ze sklepu jubilerskiego.

- Czy coś się stało?

- Ed źle się czuje.

Loyce wyszarpnął rękę.

- Jak możecie tak tu sterczeć? Nie widzicie go? Na miłość boską...

- O czym on mówi? - zapytała nerwowo Margaret Henderson.

- Ciało! - huknął Ed. - Tam wisi ludzkie ciało!

Zebrało się więcej ludzi.

- Czy on jest chory? To Ed Loyce. Ed, czy nic ci nie jest?

- Ciało! - krzyczał Loyce, usiłując ich wyminąć. Próbowano go przytrzymać. Szarpnął się. - Puśćcie mnie! Policja! Wezwać policję!

- Ed...

- Lepiej sprowadźcie doktora!

- On musi być chory.

- Albo pijany.

Loyce przedzierał się przez tłum. Potknął się i prawie upadł. Jak przez mgłę widział rzędy pochylonych nad nim twarzy pełnych ciekawości, niepokoju bądź troski. Zewsząd podchodzili zwabieni hałasem ludzie. Przepchnął się pomiędzy nimi w kierunku sklepu. Widział, jak wewnątrz Fergusson rozmawia z klientem, pokazując

mu odbiornik telewizyjny

Emersona. Stojący przy warsztacie Pete Foley składał nowy Philico. Loyce krzyknął do nich rozzwierając. Jego głos zginął w rosnącym zgiełku pojazdów i pomrukach gapiów.

- Zróbcie coś! - zawołał. - Nie stójcie tak! Zróbcie coś! Nie widzicie, że dzieje się coś strasznego?!

Tłum rozstał się z szacunkiem przed dwoma roslymi policjantami, którzy zdecydowanie sunęli w kierunku Loyce'a.

- Nazwisko? - mruknął policjant z notatnikiem.

- Loyce. - Znużony otarł czoło. - Edward C. Loyce. Wysłuchajcie mnie. Tam, w parku...

- Miejsce zamieszkania? - przerwał mu policjant. Samochód policyjny zwinnie przedzierał się pomiędzy pojazdami i autobusami. Wyczerpany i oszołomiony Loyce wcisnął się w fotel. Spazmatycznie chwycił oddech.

- 1368 Hurst Road.

- Czy to tutaj, w Pikeville?

- Oczywiście. - Loyce opanował się morderczym wysiłkiem. - Słuchajcie. Tam, na skwerze, na latarni wisi...

- Gdzie pan dzisiaj był? - zapytał policjant siedzący za kierownicą.

- Gdzie? - powtórzył jak echo Loyce.

- Nie przebywał pan w swoim sklepie, prawda?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Nie, zostałem w domu. W piwnicy.

- W piwnicy?

- Kopalem. Stawiam nowe fundamenty. Wywoziłem ziemię, aby wylać na dno cement. Dlaczego pan pyta? Co to ma wspólnego z...

- Czy ktoś panu towarzyszył?

- Nie. Żona pojechała do miasta. Dzieci były w szkole. - Loyce przenosił wzrok z jednego roslęgo policjanta na drugiego. W jego serce wkradła się iskierka desperackiej nadziei. - Czy chodzi o to, że ominęło mnie... wyjaśnienie? Nie zdążyłem na czas tak jak pozostali?

Po chwili policjant z notatnikiem zabrał głos.

- Zgadza się. Ominęło pana wyjaśnienie.

- Zatem to sprawa urzędowa? Ciało ma tam wisieć?

- Ma tam wisieć. Żeby wszyscy widzieli.

Na ustach Eda Loyce'a wykwitł błydy uśmiech.

- Chryste! Chyba wreszcie wyszedłem z długiego tunelu na światło dzienne. A już myślałem, że dzieje się coś niedobrego. Wiecie, coś w rodzaju Ku-Klux-Klanu. Rozbuchana przemoc. Wyraz wzmożonej aktywności komunistów albo faszystów. - Trzęsącą się ręką wyjął z kieszeni na piersiach chustkę i wytarł twarz. - Cieszę się, że wszystko jest pod kontrolą.

- Wszystko jest pod kontrolą. - Samochód policyjny zmierzał ku Hali Sprawiedliwości. Słońce dawno już zaszło. Ulice spowijał mrok. Nie zapalono jeszcze latarni.

- Lepiej mi - rzekł Loyce. - A już prawie straciłem głowę. Porządnie się wystraszyłem. Teraz, skoro wszystko jest jasne, nie ma potrzeby, aby mnie aresztować, prawda? Policjanci nie odpowiedzieli.

- Powinienem wrócić do sklepu. Chłopcy nie jedli jeszcze kolacji.

Ze mną wszystko w porządku. Nie będę więcej sprawiał kłopotu. Jeśli zajdzie potrzeba...

- To potrwa tylko chwilę - przerwał mu policjant siedzący za kierownicą. - Rutynowa procedura, raptem kilka minut.

- Mam nadzieję - mruknął Loyce. Samochód przystanął na światłach. - Pewnie zakłóciłem porządek. To śmieszne, zdenerwować się w ten sposób i...

Loyce szarpnięciem otworzył drzwi. Wyskoczył na ulicę. Otaczały go samochody, nabierały prędkości wraz ze zmianą świateł. Loyce skoczył na krawężnik i wpadł w kłębiący się tłum. Za plecami słyszał hałas i okrzyki biegnących.

To nie byli policjanci. Od razu to sobie uświadomili. Znał wszystkich gliniarzy w Pikeville. Człowiek nie mógł prowadzić interesu w małym mieście i nie znać wszystkich policjantów.

To nie byli policjanci - i nie nastąpiło żadne wyjaśnienie. Potter, Fergusson, Jenkins, żaden z nich nie znał przyczyny tego zjawiska. Nie dość, że nie wiedzieli, to jeszcze nic ich to nie obchodziło. Ten fakt intrygował go najbardziej. Loyce wbiegł do sklepu z towarami żelaznymi. Nie zważając na zdumionych sprzedawców i kupujących, pognął w kierunku zaplecza i wypadł na zewnątrz tylnymi drzwiami. Potknąwszy się o kubek na śmieci, zbiegł po betonowych schodkach. Wspiął się na ogrodzenie i zdyszany zeskoczył po drugiej stronie. Wszędzie panowała cisza. Udało mu się zmylić pogoń.

Znajdował się na skraju ciemnego zaułka usianego deskami, połamanymi pudłami i oponami. Widział biegnącą w oddali ulicę. Latarnia zamigotała i rozblęta światłem. Ludzie. Sklepy. Neony. Pojazdy.

A po jego prawej stronie - posterunek policji.

Był blisko, bardzo blisko. Za platformą ładowniczą sklepu spożywczego wznosiła się biała ściana Hali Sprawiedliwości. Okratowane okna. Czujniki policyjne. Przebywanie w pobliżu takiego miejsca nie wróżyło mu nic dobrego. Musiał iść dalej, aby znaleźć się w bezpiecznej odległości od nich. Od nich?

Loyce ostrożnie ruszył wzdłuż uliczki. Za posterunkiem stał ratusz, staroświecka żółta budowla składająca się z drewna, połączanego mosiądzu i cementowej zaprawy. Widział niezliczone rzędy biur, ciemne okna, cedry i klomby po obu stronach wejścia.

Jego uwagę przykuło coś jeszcze.

Nad ratuszem widniała plama nieprzeniknionej ciemności, odcinająca się od nocy ogarniającej miasto. Pasma rozległej, ginącej na tle nieba czerni. Nadstawił uszu. Dobry Boże, usłyszał coś, co sprawiło, że gorączkowo zapragnął nie dopuścić do siebie tego dźwięku i wymazać go z pamięci. Bzyczenie. Odległe, przytłumione bzyczenie przywodzące na myśl potężny rój pszczoł.

Zesztywniały z przerażenia Loyce podniósł głowę. Nad ratuszem zawisła płachta ciemności tak gęstej, że prawie namacalnej. Coś się w niej ruszało. Z nieba zstępowały roztrzepotane kształty i zatrzymawszy się na chwilę, chmurą opadały na dach.

Roztrzepotane kształty. Z ciemnej szczeliny wiszącej nad jego głową. Widział je.

Przez dłuższy czas Loyce obserwował zajście przyczajony w błotnistej kałuży za zniszczonym ogrodzeniem.

Łądowali. Schodzili na dół grupami, lądowali na dachu ratusza, po czym znikali w środku. Mieli skrzydła. Niczym gigantyczne owady. Szybowali w powietrzu, by zaraz opaść w dół i bokiem, niczym kraby, popęznąć w stronę wejścia do budynku.

Mimo ogarniających go mdłości wpatrywał się w nich jak urzeczony. Zadrżał pod wpływem zimnego podmuchu nocnego wiatru. Czuł znużenie i oszołomienie. Na frontowych schodach ratusza gdzieś stali ludzie. Inni wychodzili z budynku i przystawali na chwilę przed udaniem się w dalszą drogę.

Czy było ich więcej?

To nie wydawało się możliwe. Istoty zstępujące z czarnej otchłani to nie ludzie. Pochodziły z innego świata bądź wymiaru. Wtargnęły do środka dzięki owemu pęknięciu, szczelinie w skorupie wszechświata. Uskrzydłone owady z innej sfery bytu.

Grupa stojących na schodach ratusza mężczyzn się rozdzieliła. Kilku podążyło w kierunku czekającego samochodu. Jeden z pozostałych skierował się z powrotem ku wejściu do budynku. W ostatniej chwili zmienił zdanie i odwrócił się, by dołączyć do reszty.

Loyce w przerażeniu zamknął oczy. W głowie mu huczało. Z całej siły przytrzymał się pochyłego ogrodzenia. Człękoksztalna postać raptownie poderwała się w górę i dofrunęła do pozostałych. Przebywszy dzielącą ją od nich odległość, osiadła na chodniku pomiędzy nimi.

Pseudoludzie. Imitacje. Insekty obdarzone zdolnością upodabniania się do człowieka. Jak owady ziemskie przybierające barwy otoczenia. Loyce oderwał się od płotu i powoli wstał. Zapadła noc. W uliczce panował całkowity mrok. Lecz może tamci widzieli w ciemności. Może im nie przeszkadzała.

Ostrożnie opuścił zaułek i wyszedł na ulicę. Przerzedził się tłum zdążających chodnikiem przechodniów. Na przystankach stały kilkuosobowe grupki. Ulicą nadjeżdżał ogromny autobus, błyskając w mroku światłami.

Loyce ruszył do przodu. Przepchnął się między czekającymi i kiedy autobus zajechał na przystanek, wsiadł i zajął miejsce w rogu, tuż przy drzwiach. Wkrótce potem autobus ponownie włączył się do ruchu.

Loyce nieco się odprężył. Baczenie zlustrował otaczających go pasażerów. Zmęczone, przygnębione twarze. Ludzie wracający z pracy. Nie cechowało ich nic szczególnego. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy w milczeniu zagłębili się w swoje siedzenia i kołysali się w rytm jazdy.

Mężczyzna obok niego rozłożył gazetę. Bezgłośnie poruszając ustami, przystąpił do przeglądania rubryki sportowej. Ot, zwyczajny człowiek w niebieskim garniturze i krawacie. Biznesmen lub handlowiec, wracający do żony i dzieci.

Po drugiej stronie przejścia siedziała młoda, mniej więcej dwudziestoletnia kobieta o ciemnych oczach i włosach, z pakunkiem na kolanach. Miała na sobie nylonowe pończochy, buty na wysokich obcasach oraz czerwony płaszcz i biały sweter z angory. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Licealista w dżinsach i czarnej kurtce.

Potężna niewiasta o potrójnym podbródku i poszarzałej ze zmęczenia twarzy, obciążona wielką torbą wypełnioną pudełkami i paczkami.

Zwykli ludzie, co wieczór wracający autobusem do domów na kolację.

Wracali do domów - pogrążeni w otępieniu za sprawą obcych istot, które przejęły kontrolę nad nimi, ich miastem oraz życiem. Nad nim samym również. Tyle że akurat przebywał w swojej piwnicy zamiast w sklepie i jakimś sposobem uszedł ich uwagi. Przeoczyli go. Zatem ich władza nie była bezgraniczna.

Może to samo dotyczyło innych.

Loyce poczuł przypływ nadziei. Nie byli wszechmocni. Pomijając go, popełnili błąd. Umknął sieci. Wyszedł z piwnicy w niezmiętej postaci. Najwidoczniej zakres ich wpływów miał swoje granice.

Siedzący kilka miejsc dalej mężczyzna utkwił w nim wzrok. Loyce wyrwał się z zamyślenia. Mężczyzna był szczupły i ciemnowłosy, nad jego górną wargą widniał niewielki wąsik. Szykownie ubrany, miał na sobie brązowy garnitur i lśniące buty. W drobnych dłoniach trzymał książkę. Baczenie wpatrywał się w Loyce'a. Pospiesznie

odwrócił głowę.

Loyce nabrał czujności. Czyżby jeden z nich? Czy też ktoś, kogo również pominęli? Mężczyzna ponownie skierował na niego bystre spojrzenie małych, ciemnych i przenikliwych oczu. W grę wchodziła jedna możliwość z dwojga - albo sprytnie uniknął ich wpływu, albo był jedną z obcych istot pochodzących spoza świata.

Autobus przystanął. Powoli wsiadł do niego starszy mężczyzna i skasował bilet.

Następnie ruszył wzdłuż przejścia i zajął miejsce naprzeciw Loyce' a.

Nowo przybyły podchwycił spojrzenie bystrookiego mężczyzny. W ułamku sekundy zawarli między sobą jakieś porozumienie. Ich wygląd nie pozostawiał wątpliwości.

Loyce wstał. Autobus ruszył w dalszą drogę. Podbiegł do drzwi. Stanąwszy na stopniu, szarpnął za dźwignię awaryjnego otwierania. Drzwi rozwarły się na oścież.

- Hej! - wrzasnął kierowca, wciskając hamulec. - Co do cholery?...

Loyce wyteżył wzrok. Autobus zwalniał. Po obu stronach drogi stały domy.

Znajdowali się w dzielnicy mieszkalnej, pełnej trawników i wysokich budynków. Za jego plecami bystrooki mężczyzna zerwał się gwałtownie. Starszy pasażer również wstał. Podążali jego śladem.

Loyce wyskoczył. Z ogromną siłą uderzył o chodnik i potoczył się w kierunku krawężnika. Wraz z przytłumieniem bólu poczuł zamykającą się nad nim ciemność.

Wyrwał się z niej desperacko. Z wysiłkiem dźwignął się na kolana, po czym znowu upadł. Autobus przystanął. Ludzie zacieli wysiadać.

Loyce pomacał wokół siebie. Jego palce zacisnęły się na jakim przedmiocie. Był to leżący w rynsztoku kamień. Jęcząc z bólu, stanął. Zamajaczył przed nim kształt.

Mężczyzna, bystrooki mężczyzna z książką. Loyce kopnął. Mężczyzna stęknął i upadł. Loyce zadał cios kamieniem. Mężczyzna z krzykiem usiłował odturlać się na bok.

- Przestań! Na miłość boską, wysłuchaj mnie...

Uderzył jeszcze raz. Rozległ się obrzydliwy chrzęst. Głos mężczyzny przeszedł w nieartykułowany bełkot. Loyce wyprostował się i przystąpił do odwrotu. Zaczynali nadchodzić ludzie. Otaczali go ze wszystkich stron. Niezgrabnie pobiegł w górę ulicy. Nikt go nie gonił.

Przystanęli nad nieruchomym ciałem mężczyzny z książką, bystrookiego mężczyzny, który szedł za nim.

Czyżby popełnił błąd?

Za późno to roztrząsać. Musiał uciec jak najdalej od nich. Jak najdalej od Pikeville i mrocznej szczeliny łączącej jego świat ze światem należącym do nich.

- Ed! - Janet Loyce nerwowo cofnęła się o krok. - Co się stało? Co...

Ed Loyce zatrzasnął za sobą drzwi i wszedł do pokoju.

- Zasuń story. Szybko.

Janet podeszła do okna.

- Ale...

- Rób, co mówię. Kto oprócz ciebie jest w domu?

- Nikt. Tylko bliźniaki. Są na górze, w swoim pokoju. Co się stało?

Tak dziwnie wyglądasz. Dlaczego jesteś w domu?

Ed zamknął frontowe drzwi na klucz. Obszedł dom, po czym wkroczył do kuchni. Z szafki pod zlewem wyjął wielki rzeźnicki nóż i przejechał po nim palcem. Ostry.

Bardzo ostry. Wrócił do pokoju.

- Posłuchaj - powiedział. - Nie mam zbyt wiele czasu, Wiedzą, że uciekłem, i będę mnie szukać.

- Uciekłeś? - Twarz Janet wyrażała oszołomienie i strach. - Kto wie?

- Miasto zostało przejęte. Panują nad nim. Rozgryzłem metodę ich działania. Zaczęli

od góry, od ratusza i komendy policji. To, co zrobili z prawdziwymi ludźmi...

- O czym ty mówisz?

- Zostaliśmy zaatakowani przez istoty z innego wszechświata i wymiaru. To owady podszywające się pod ludzi i dysponujące możliwością kontrolowania ich umysłów. Twojego również.

- Mojego?

- Punkt przejścia mieści się tutaj, w Pikeville. Rządzą wami wszystkimi. Całym miastem - z wyjątkiem mnie. Stoimy wobec potężnego wroga, ale i on ma słabe punkty. W tym cała nasza nadzieja. Nie są wszechmocni! Popołniają błędy!

Janet potrząsnęła głową,

- Nie rozumiem, Ed. Ty chyba zwariowałeś.

- Zwariowałem? Nie. Po prostu mam szczęście. Gdybym nie siedział w piwnicy, niczym nie różniłbym się teraz od was. - Loyce wyjrzał przez okno. - Nie mogę jednak marnować czasu na pogawędki. Przynies swój płaszcz.

- Płaszcz?

- Wynosimy się stąd. Byle dalej od Pikeville. Musimy sprowadzić pomoc. Zwalczyć to zjawisko. Można to uczynić. Oni nie są niepokonani. Są blisko, ale jeżeli niezwłocznie podejmiemy kroki, na pewno nam się uda. Szybciej! - Szorstko chwycił ją za ramię. - Przynies płaszcz i zawołaj bliźniaki. Wyjeżdżamy stąd. Nie bierz nic ze sobą. Szkoda czasu.

Pobladała na twarzy kobieta podeszła do szafy i wyjęła płaszcz.

- Dokąd jedziemy?

Ed otworzył szufladę biurka i wysypał jej zawartość na podłogę. Wyciągnął mapę samochodową i rozłożył ją.

- Bez wątpienia obstawili autostradę. Ale jest i boczna droga.

Prowadzi do Oak Grove. Kiedyś nią jechałem. Jest praktycznie nieuczęszczana. Może o niej zapomnieli.

- Masz na myśli starą Ranch Road? Jezu, przecież ona jest zamknięta. Nikt nie powinien tamtędy przejeżdżać.

- Wiem. - Ed ponuro wepchnął mapę do kieszeni. - To właśnie nasza szansa. Teraz zawołaj bliźniaki i ruszajmy w drogę. Zatankowałaś swój samochód, prawda?

Janet nie posiadała się ze zdumienia.

- Chevy? Tankowałam wczoraj po południu. - Janet ruszyła w kierunku schodów. - Ed, ja...

- Zawołaj bliźniaki! - Ed otworzył frontowe drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Nie dojrzał nikogo. Jak na razie wszystko szło po jego myśli.

- Zejdźcie na dół - zawołała łamiącym się głosem Janet. - Wyjeżdżamy... wyjeżdżamy na jakiś czas.

- Teraz? - dobiegł głos Tommy'ego.

- Pospieszcie się - warknął Ed. - Schodźcie na dół, obydwaj.

Tommy ukazał się na szczycie schodów.

- Odrabiałem lekcje. Zaczęliśmy ułamki. Panna Parker mówi, że jeśli tego nie zrobimy...

- Pał sześć ułamki. - Ed chwycił syna za rękę i popchnął go w stronę drzwi. - Gdzie jest Jim?

- Już idzie.

Jim powoli zaczął schodzić po schodach.

- O co chodzi, tato?

- Jedziemy na przejażdżkę.

- Na przejażdżkę? Dokąd?

Ed odwrócił się do Janet.

- Zostawimy zapalone światła i telewizor. Idź i włącz go. – Popchnął ją w stronę odbiornika. - Niech myślą, że wciąż jesteśmy...

Usłyszał bzyczenie. Momentalnie zamilkł i wyciągnął nóż. Zdrętwiały patrzył, jak naciera na niego uskrzydłona postać w dalszym ciągu nieco podobna do Jimmy'ego. Była nieduża, najwyraźniej jeszcze nie w pełni rozwinięta. Z twarzy napastnika spoglądały na niego zimne, fasetkowe owadzie oczy. Uskrzydłone ciało nadal miało na sobie żółty podkoszulek i dżinsy chłopca. Zbliżając się do niego, postać wykonała dziwny półobrót. Co to miało znaczyć?

Żądło.

Loyce zamachnął się desperacko nożem. Bzyząc wściekle, postać się cofnęła. Loyce podpełził ku drzwiom. Tommy i Janet stali nieruchomo jak posągi, patrząc na niego beznamyślnie. Loyce uderzył ponownie. Tym razem nóż napotkał opór. Postać zachwiała się, wydając z siebie przenikliwy pisk. Uderzyła o ścianę i z trzepotem runęła na podłogę.

Coś wtargnęło do jego umysłu. Napór siły, energii sondującego go obcego umysłu. Poczul się obezwładniony. Intruz zapanował nad nim na jedną krótką chwilę. Obcy wpływ ustał w momencie, gdy postać znieruchomiła na dywanie, zastygając w bezwładny kopczyk.

Była martwa. Trącił ją nogą. Przypominała owada, wielką muchę. Żółty podkoszulek, dżinsy. Jimmy... Nie dopuścił do siebie tej myśli. Za późno, aby się nad tym zastanawiać. Brutalnie wyciągnął nóż i ruszył ku drzwiom. Janet i Tommy nadal stali nieruchomo.

Samochód stał na zewnątrz. Nigdy się nie przecisnie. Będą na niego czekać. Miał przed sobą dziesięć mil pieszej wędrówki. Dziesięć mil po nierównym gruncie, wśród wąwozów, otwartych przestrzeni i pagórków porośniętych dzikimi chaszczami. Będzie musiał przebyć je sam. Loyce otworzył drzwi. Omiótł spojrzeniem żonę i syna. Następnie zatrzasnął za sobą drzwi i zbiegł po schodkach werandy. Chwilę później pędził w ciemności w kierunku skraju miasta.

Wczesno poranne słońce słało na ziemię oślepiający blask. Zdyszany Loyce przystanął, kołysząc się w przód i w tył. Pot zalewał mu oczy. Odzież wisiała na nim w strzępach, podarta przez kolce i gałęzie, wśród których musiał się przedzierać. Dziesięć mil - przyczajony na kolanach niczym ścigane nocą zwierzę. Buty całkowicie oblepione błotem. Utykał, był podrapany i śmiertelnie znużony. Lecz na wprost niego rozciągało się Oak Grove.

Wziął głęboki oddech i ruszył w dół zbocza. Dwukrotnie potknął się i upadł, ale wstawał i podejmował swoją wędrówkę. Dzwoniło mu w uszach. Obraz przed oczami falował za mgłą. Ale dotarł na miejsce. Wydostał się z Pikeville.

Rolnik na polu wytrzeszczył na niego oczy. Stojąca przy domu młoda kobieta spoglądała na niego ze zdumieniem. Loyce doszedł do drogi i skręcił w nią. Na wprost niego znajdowała się stacja benzynowa i bar. Kilka ciężarówek, grzebiące w ziemi kurczęta, przywiązany sznurkiem pies. Kiedy dochodził się do stacji, ubrany na biało pracownik nie spuszczał zeń podejrzliwego spojrzenia.

- Dzięki Bogu. - Przytrzymał się ściany. - Nie sądziłem, że mi się uda. Śledzili mnie przez większość drogi. Słyszałem ich bzyczenie.

Nieustannie dobiegało zza moich pleców.

- Co się stało? - zapytał pracownik. - Miał pan wypadek? Napadnięto pana?

Loyce ze zmęczeniem potrząsnął głową. - Przejęli całe miasto. Ratusz i komendę policji. Powiesili człowieka na latarni. To jego najpierw zobaczyłem. Zablokowali wszystkie drogi. Widziałem, jak unoszą się nad jadącymi samochodami. Zgubiłem ich



około czwartej nad ranem. Od razu to wiedziałem. Czuję, jak odchodzą. Potem wzeszło słońce.

Pracownik nerwowo oblizał wargi.

- Pomieszalo się panu w głowie. Lepiej sprowadzę lekarza.

- Proszę zawieźć mnie do Oak Grove - wydusił Loyce. Ciężko opadł na żwir. -

Musimy zacząć... usuwać ich z miasta. I to zaraz.

Magnetofon rejestrował każde jego słowo. Kiedy skończył, Komisarz wyłączył nagrywanie i podniósł się z krzesła. Stał przez chwilę głęboko zamyślony. Wreszcie wyjął papierosy i zapalił powoli, z pochmurnym wyrazem na mięsistej twarzy.

- Nie wierzy mi pan - powiedział Loyce.

Komisarz poczęstował go papierosem. Loyce niecierpliwie odepchnął jego rękę. -

Niech pan da spokój. - Komisarz podszedł do okna i popatrzył na rozciągające się za nim Oak Grove.

- Wierzę panu - odrzekł raptownie.

Loyce aż osłabł z ulgi.

- Dzięki Bogu.

- A więc uciekł pan. - Komisarz potrząsnął głową. - Był pan w piwnicy zamiast w pracy. Cóż za zbieg okoliczności. Przypadek jeden na milion.

Loyce upił z kubka łyk czarnej kawy, którą mu przynieśli.

- Mam pewną teorię - wymamrotał.

- Mianowicie?

- Chodzi o nich. O to, kim są. Każdorazowo przejmują jeden region, rozpoczynając od góry, od najwyższego szczybla władzy. Stamtąd ich działalność zatacza coraz szerszy krąg. Kiedy umocnią się w jednym miejscu, przechodzą do następnego. Posuwają się krok po kroku, powoli i metodycznie. Według mnie to trwa już od dłuższego czasu.

- Od dłuższego czasu?

- Od tysięcy lat. Nie sądzę, aby była to jakaś nowość.

- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

- Kiedy byłem mały... Obrazek, który pokazano nam na lekcji religii. Była to stara, kościelna rycina. Przedstawiała wrogie bóstwa pokonane przez Jehowę; Molocha, Belzebuba, Baala, Asztarte...

- No i?

- Każdy z nich miał swój symboliczny odpowiednik. - Loyce podniósł wzrok na Komisarza. - Belzebuba przedstawiano w postaci wielkiej muchy.

Komisarz odchrząknął.

- To stare dzieje.

- Pokonano ich. Biblia stanowi świadectwo ich porażki. Odnoszą pewne korzyści, lecz koniec końców zostają pokonani.

- Dlaczego?

- Nie są w stanie dotrzeć do wszystkich. Tak jak w moim przypadku. I nigdy nie dostali Hebrajczyków. Ci rozeszli wieści po całym świecie, by uświadomić innym niebezpieczeństwo. Dwaj mężczyźni w autobusie. Oni chyba rozumieli. Uciekli, podobnie jak ja. - Zacisnął pięści. - Zabiłem jednego z nich. Popęłniłem błąd. Obawiałem się podjąć ryzyko.

Komisarz kiwnął głową.

- Tak, oni niewątpliwie uciekli tak jak pan. Jednakże reszta miasta została opanowana. - Cóż, panie Loyce. Najwyraźniej rozpracował pan wszystko.

- Nie wszystko. Wisielec. Człowiek wiszący na latarni. Nijak nie mogę tego zrozumieć. Dlaczego? Dlaczego powiesili go na widoku?

- Przecież to proste. - Na twarzy Komisarza pojawił się nieznaczny uśmiech. -  
Zasadzka.

Loyce zeszywniał. Serce przestało mu bić.

- Zasadzka? Co pan przez to rozumie?

- Aby pana zwabić. Zmusić do ujawnienia się. Dlatego wiedzieli, kto znalazł się pod kontrolą, a kto się wymknął.

Loyce ze zgrozą cofnął się o krok.

- Zatem spodziewali się przeszkód! Przewidzieli. .. - Urwał. - Przygotowali zasadzkę.

- I pan w nią wpadł. Poprzez swoją reakcję zwrócił pan na siebie ich uwagę. -

Komisarz gwałtownie ruszył ku drzwiom. - Idziemy, Loyce. Nie ma chwili do stracenia. Pora na nas.

Oszołomiony Loyce z wolna powstał z miejsca.

- A tamten człowiek. Kim był tamten człowiek? Nigdy przedtem go nie widziałem. Był obcy w naszym mieście. Cały umazany błotem, o pokaleczonej twarzy...

Na twarzy Komisarza pojawił się dziwny wyraz.

- Może i to wkrótce stanie się dla pana jasne. Idziemy, panie Loyce.

- Z błyszczącymi oczami otworzył drzwi. Loyce w przelocie dojrzał skrawek biegnącej przed komisariatem ulicy. Zobaczył policjantów i jakiś podest. Słup telefoniczny. . . i stryzyk! - Tędy proszę - powiedział z zimnym uśmiechem Komisarz.

Wraz z zachodem słońca, zastępca dyrektora Banku Handlowego w Oak Grove opuścił skarbiec, zatrzasnął ciężkie zamki, włożył kapelusz i płaszcz, po czym pośpiesznie wyszedł na chodnik. Nieliczni przechodnie spieszyli do domów na kolację.

- Dobranoc - pożegnał go strażnik, zamykając za nim bramę.

- Dobranoc - odmruknął Clarence Mason. Podażył ulicą w kierunku swojego samochodu. Był zmęczony. Przez cały dzień pracował w podziemnym skarbcu, studiując rozkład pomieszczeń depozytowych celem ustalenia, czy znajdzie się miejsce na kolejny rząd. Cieszył się, że miał to już za sobą.

Na rogu ulicy przystanął. Jeszcze nie zapalono latarni. Na ulicy panował mrok, odbierając kształtom ich wyrazistość. Rozejrzał się i... zamarł.

Na słupie telefonicznym stojącym na wprost komisariatu wisiał jakiś duży i bezkształtny przedmiot. Poruszał się lekko kołysany wiatrem.

Co to u licha mogło być?

Mason ostrożnie podszedł bliżej. Marzył o powrocie do domu. Był zmęczony i głodny. Pomyślał o żonie, dzieciach, gorącym posiłku na stole. Jednak w wiszącym przedmiocie było coś odpychającego i złowrogiego. Z uwagi na kiepskie oświetlenie za nic nie mógł ustalić jego pochodzenia. Wbrew sobie postąpił kilka kroków naprzód, aby się lepiej przyjrzeć.

Przedmiot wzbudził w nim niepokój. Przeraził go. Przeraził... i zafascynował.

Co dziwne, nikt inny nie zwracał na niego uwagi.